

⁶⁶⁵
Kultura

Wyleczyłam się z nadziei

Mówi aktorka BEATA FUDALEJ w rozmowie z Łukaszem Maciejewskim

Pamiętam Pani debiut teatralny - wspaniałą adaptację „Braci Karamazow” w reżyserii Krystiana Lupa...

- „Bracia Karamazow”, zresztą moje ukochane przedstawienie, było naszym dyplomem. Później, kiedy Lupa przeniósł je na „profesjonalną” scenę, ponownie zaproponował mi zagranie w nim. Zobaczył mnie ówczesny dyrektor Starego Teatru Stanisław Radwan i zaangażował. To była komfortowa sytuacja, bo przypuszczam, że sama nigdy nie zabiegałabym o pracę w tym teatrze, wychodząc z założenia, że i tak moje szanse na angaż byłyby raczej niewielkie.

- To było już siedem lat temu. Od tego czasu teatr zaproponował Pani wiele znakomitych ról, film chyba czekał na odpowiedni moment... Nadszedł razem z „Wielkim Tygodniem”.

- Poza sporadycznym statystowniem jeszcze na studiach, moje kontakty z kinem polskim były dotąd właściwie żadne. Wynikało to pewnie także i z mojej winy. Z zasady bowiem ignoruję wszelkie tzw. „zdjęcia próbne”, bo uważam, że w rodzimym wydaniu wyglądają one kuriozalnie. Raz, czy dwa razy miałam w nich nieszczęście uczestniczyć. Najpierw ktoś przez długie tygodnie wydzwaniał za mną, po czym na miejscu okazywało się, że nikt mnie właściwie nie zna, nie wie, jak wyglądam; wręczano mi jakieś świstki papieru, które widziałam pierwszy raz w życiu - rzekomo do interpretacji. Nikt nie znał scenariusza, nikt specjalnie nie wiedział, o co dokładnie chodzi - słowem jeden wielki bałagan. Po tak dojmujących doświadczeniach postanowiłam, że niekoniecznie muszę brać udział w tego typu „widowiskach”, a jeżeli jakiś reżyser naprawdę będzie chciał mnie zaangażować do filmu, zrobi to sam.

- Tym „pierwszym” okazał się sam Andrzej Wajda. Kiedy przed niepełną dwoma laty rozmawiałam z Wajdą, nie krył słów zachwytu Pani dokonaniem scenicznymi. Przed filmem zresztą pracowaliście już razem przy „Mishimie” w Starym Teatrze.

- Gdy dowiedziałam się, że Andrzej Wajda publicznie wygłasza pozytywne sądy na mój temat, byłam przede wszystkim zaskoczona, bowiem w pracy odnosił się do mnie raczej bez zachwytów. Po raz pierwszy spotkałam się z nim w niecodziennych okolicznościach, nie w teatrze - a w radiu. Nagrywałam słuchowisko oparte na „Sonaście widm” Strindberga. Po zakończeniu nagrań miałam wrażenie, że był ze mnie niezadowolony. Potem jednak otrzymałam dużą, bardzo piękną rolę w „Mishimie”, wreszcie padła propozycja zagrania w filmie.

- Postać grana przez Panią może wzbudzać opór widza. Irena Lilien



jest wyniosła i agresywna. Ale, moim zdaniem, to właśnie jest największym sukcesem Pani i Wajdy - psychologiczne uwiarygodnienie tej antypatycznej postaci. W jej los - naznaczony cierpieniem - wierzy się bez zastrzeżeń, i jest to raczej tragiczna konstatacja wywiedziona chociażby z Borowskiego, że w sytuacjach ekstremalnych często jedyną obroną przed strachem staje się nienawiść.

- Andrzej Wajda od początku prosił mnie o to, żebym nie starała się na siłę szukać zwolenników postaci Ireny, nie starała się jej bronić. Z perspektywy oceniam, że była to słuszna decyzja, bo w innym przypadku oglądalibyśmy płaski film o biednej żydowskiej dziewczynce, którą najpierw ktoś ukrywa, a potem ktoś inny - oczywiście „zły Polak” - wyrzuca. A, według mnie, chodziło przecież o to, żeby pokazać odwieczne nieporozumienie między naszymi narodami. Byli ludzie zli i dobrzy - po jednej i po drugiej stronie, jedni i drudzy byli prześladowani, ginęli i Polacy i Żydzi. Zdają sobie sprawę, że ta postać budzi agresję. Ona także i mnie drażni. Ale przecież to osoba na zewnątrz harda i odważna, wewnątrz była biedna, mała i zaszczuta. Straciła już wszystko i wszystkich - pozostał jej tylko bunt, bunt przeciwko śmierci i przeciwko godzeniu się z nią; coś, co mieści się gdzieś poza granicą cierpienia.

- Pani bohaterka w filmie buntuje się także przeciwko samej sobie,

w scenach, w których jest sama w pokoju, wzbudza już zwyczajną litość. To inna postać - osoba, która przeżyła tak wiele, że już nie potrafi zachowywać się inaczej jak tylko agresywnie.

- Jedynym moim argumentem na obronę Ireny, który został wzięty pod uwagę przez Andrzeja Wajdę, była niemożliwość, nawet z psychologicznego punktu widzenia, uwiarygodnienia tej postaci jako osoby do końca złej i hardy. Dlatego starałam się pokazać, że ona tak naprawdę atakuje dlatego, że się boi. Chciałam pokazać jak wielkie jest zaszczucie takiej osoby, która w ciągu dnia bryluje, ma piękny kostium, pali papierosy i wszystkich atakuje, kąsa, a w środku jest strzępem człowieka.

- Literacki pierwowzór postaci Ireny Lilien w opowiadaniu Andrzeja Wajdy to znana jako krytyk filmowy Wanda Wertenstein. Czy przygotowując się do tej roli w jakimś stopniu konsultowała Pani z nią swoje decyzje?

- Niestety, o tym, że prototypem postaci była Wanda Wertenstein, dowiedziałam się dopiero w trakcie kręcenia zdjęć i nie było już czasu na spotkanie z nią. Mam jednak nadzieję, że uda mi się porozmawiać z panią Wertenstein, chętnie poznałabym jej opinię na temat roli.

- Ciekaw jestem kolejnych filmów z Pani udziałem; że się pojawiają, w to nie wątpię, wszak właściwie każdy

aktor, czy aktorka, którzy w filmach Wajdy pojawiali się „po raz pierwszy na ekranie” potem wielokrotnie osiągnęli znaczące filmowe sukcesy.

- Czasy mamy już chyba nieco inne. Ja z pewnością chciałabym jeszcze zagrać w jakimś interesującym filmie, ale nie spodziewam się zupełnie, że po zagranie tej roli zaczną być obsypywana propozycjami. Pracuję już siódmy rok na scenie i dawno już wyleczyłam się z oczekiwań i nadziei. W czasie studiów i tuż po skończeniu szkoły wydawało mi się naturalne, że kiedy ktoś otrzyma jakąś prestiżową nagrodę, czy weźmie udział w istotnym wydarzeniu filmowym czy teatralnym, to od razu będzie to premiowane szeregiem ciekawych propozycji. Okazuje się jednak, że jest dokładnie odwrotnie. Przez miesiąc urywają się telefony z gratulacjami (mniej lub bardziej kurtuazyjnymi - czasami szczerymi), potem przez długie tygodnie nic się nie dzieje. Aż trafi się kolejna duża rola, świetne recenzje, nowa nagroda - i utarty scenariusz powtarza się od nowa. Polski film zna wiele tego typu przypadków. Zaskakująca jest na przykład nieobecność od wielu lat na ekranach Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, która to absencja rozpoczęła się razem z otrzymaniem przez nią Złotej Palmy. Dla mnie najważniejsza jest to, że zagrałam swoją pierwszą rolę w ważnym filmie. Jestem przekonana, że „Wielki Tydzień” znalazł już swoje miejsce w historii polskiego kina. Natomiast na razie nie grozi mi bezczynność - cały czas występuję w kilku sztukach, jestem w trakcie prób w rodzimym teatrze do „Burzy” Szekspira w reżyserii Rudolfa Ziolo, gdzie mam zagrać Ariela. I właśnie to mnie w tej chwili najbardziej ekscytuje, a nie czekanie „kto i „czy” do mnie zadzwoni jutro, pojutrze lub za miesiąc.

- Być może Pani krytycyzm w ocenie mechanizmów rządzących w polskim kinie wynika z tego, że przed kilkoma laty również wróżyło Pani karierę, chociaż na innym gruncie. Była Pani rewelacją festiwalu piosenki aktorskiej we Wrocławiu.

- Tamta „kariera” skończyła się po miesiącu, mam nadzieję, że z filmem może będzie trochę lepij... Na festiwalu zaśpiewałam tylko dlatego, że wtedy nie - poza „Braci Karamazow” i „Zdziczeniem obyczajów pośmiertnych” Leśmiana nie robiłam w teatrze. W związku z tym miałam na przykład dwadzieścia dni wolnych w miesiącu, dorabiałam sobie w pracowni ceramicznej; a że nie był to szczyt moich aspiracji zawodowych, postanowiłam spróbować czegoś nowego. Przygotowałam więc dwie piosenki - które były żartem, dowcipem i ...wygrałam. Ale sam festiwal wspominam jako istny horror - nie mogłam dojść do trzeciego etapu, ponieważ miałam przedstawienie w Krakowie. Akurat nastąpiła jakaś

„przestawka”, nie było mowy o zastępstwie i musiałam wracać do teatru. Długie rozmowy telefoniczne („przedzwoniłam” wtedy całą nagrodę) sprawiły, że w końcu dostałam zezwolenie od dyrekcji na kontynuowanie zmagani konkursowych, ale za to wkrótce otrzymałam naganę i prawie byłam wyrzucana z teatru. Jednocześnie na tej samej tablicy ogłoszeń, gdzie była wywieszona informacja, iż odcięto mi dziesięć norm, było drugie pismo w którym dyrektor gratulował mi i zachęcał, żebym się nauczyła więcej niż dwóch piosenek, bo istotnie tyle ich wówczas umiałam. Zobligowana nagrodą wystąpiłam w kilku programach telewizyjnych, zaaranżowałam własny monodram według „Firmy Portretowej” Witkacego, w którym znalazło się dziesięć piosenek do muzyki Raja i Radwana. I to właściwie wszystko - KONIEC KARIERY... Dzisiaj jednak - z perspektywy czasu - nie żałuję, że spróbowałam swoich sił na tym gruncie, wychodzę bowiem z założenia, że nic się nie dzieje bez racji - wszystko ma swój cel, kolejność. Po prostu przeznaczenie...

- Często - w przypadku tego festiwalu - pojawia się zarzut kuriozalności samego terminu - „piosenka aktorska”, rzeczywiście właściwie nie wiadomo, co on oznacza.

- Uważam, że jest to bardzo ciekawy ruch, ale z drugiej strony nie można robić fenomenu z tego, że aktor śpiewa - tego go między innymi ucza w szkole i powinien to robić w miarę dobrze, skoro należy to do podstawowych zadań aktorskich. Samo śpiewanie nigdy nie było przedmiotem mojego zainteresowania, dlatego być może drażni mnie cała ideologia „śpiewających aktorów”. Dla mnie jest to jeszcze jeden ze sposobów wyrazu aktorskiego i nic więcej.

- Kończąc naszą rozmowę chciałabym połączyć jej oba wątki - film i teatr - fragmentem wypowiedzi Michalangelo Antonioniego: „Im bardziej aktor jest ukształtowany, tym trudniej mu stać się aktorem filmowym, aktor filmowy powinien przybyć na plan jak gąbka w stanie czystym”. Czy zgadza się Pani z tym stwierdzeniem?

- Oczywiście mogę mówić tylko w swoim imieniu, ale istotnie bardzo trudno jest przejść ze swoistą barierą, żeby zupełnie zapomnieć o teatrze, zwłaszcza jeśli tekst, dialogi są mniej lub bardziej literackie. Film to zupełnie inny rodzaj pracy. Często najlepiej grają amatorzy - bez świadomości, naturalnie, natomiast powtórzyć tę świeżość w kolejnym filmie, jest im już o wiele trudniej. Największą chyba sztuką jest być ukształtowanym aktorsko, a mimo wszystko odrzucić cały ten balast. Sztuka aktorska zaczyna się wtedy, gdy człowiek - mimo całego doświadczenia, warsztatu - potrafi do każdej roli podejść na czysto, tak jakby nie grał nigdy.